

REJESTR DOTYCZY:

LAWINSKI Ludwik

s/c Emila i Anny

z d. Lewin

± 19. czerw. 1887 e Lwowie

kraj:

+ 15 wrzesni_a 1971 w Londynie

kraj: U. K.

North Sheen Cemetery

pochowany:

nr grobu:

Nr rejestracyjny

498 / 71

Nota zamieszczona:

w tomie

czesci

Suplement z r. 1971

I n d e k s

AKTORZY SCENICZNI

Copyright: 1970

B.O. Jeżewski

Źródła i bibliografia c.d.

znak rozpoznawczy

U w a g i:

Nota:

Przypisy:

synowie w Londynie : Tadeusz /* / i Marian /* /

Źródła i bibliografia:

znak rozpoznawczy

Dziennik Polski 16.9.71 - wzmianka o śmierci	18/16.IX.71/
S. Łoza " Czy wiesz kto to jest" - nota biograficzna	105
Dziennik Polski 17.9.71 - nekrolog/ żona, synowie, wnuk	18/17.IX.71/
Tydzien Polski -18.9.71 - nekrolog/ " " "	47/18.IX.71/
Dziennik Polski 21.9.71 - nekrolog/ Zw. Artystow Scen Polskich/	18/21.IX.71/
Dziennik Polski 26.10.71 - wspomnienie "Mistrz Lawiński" S. Balinski	18/26.X.71/
Biuletyn Lwowian nr 21 - 1971 z żałobnej karty	3/nr 21-1971/

Garść ziemi ze Lwowa w grobie Lawińskiego



Fot.: W. Bednarski

Fragment pogrzebu Ludwika Lawińskiego na cmentarzu North Sheen w Londynie

W Brompton Oratory nabożeństwo żałobne odprawił ks. prałat Wróbel. Wśród ponad setki obecnych byli koledzy-aktorzy, m.in. Zofia Terne, i krajanie ze Lwowa, z ostatnim prezydentem wolnego Lwowa, prof. Stanisławem Ostrowskim, na czele. Z zarządu ZASP była p. Olga Lisiewicz.

Na cmentarzu przemawiali kolejno dr Witold Czerwiński, Wiktor Budzyński i płk Stanisław Kuniczak, prezes „Koła Lwowian”.

Dr Czerwiński powiedział m.in.: „W imieniu najwierniejszych przyjaciół Aktora — widzów teatralnych — przypaść mi bolesny obowiązek pożegnania śp. Ludwika Lawińskiego”.

...„Magia teatru urzekła go od wczesnych lat.“ ...„Poznałem osobiście Zapolską, która jedna z pierwszych odkryła jego talent aktorski”.

...„Idzie od sukcesu do sukcesu. Opanowuje trudną sztukę mówienia monologów. W jego mistrzowskiej interpretacji nie zgubi się najcieńszy dowcip, najostrejsza pointe’a. Jest człowiekiem dobrym, przyjacielem ludzi. Dlatego może właśnie jego humor, opromieniony wyrozumiałą dobrocią, działa tak zaraźliwie, niecąc zdrowy, serdeczny śmiech”.

„W długim życiu, które dobiegło kresu, dochował wierności trzem głębokim sentymentom:

„Syn Lwowa kochał najwierniejszą miłością swoje cudowne miasto. Jak sam powiedział: był przez całe życie „nieprzytomnym lwowiakiem”.

„Szczęśliwy przez pół wieku mąż, ukochany ojciec i dziadek, był fanatycznie przywiązany do swej rodziny”.

„Aktor z wyboru, talentu i powołania przez całe życie żył na scenie i dla sceny”.

„Pamiętamy wszyscy — to było tak niedawno — „Gałązkę Rozmarynu“, która pięknie zakwitła w Londynie pod świetną reżyserią Kielanowskiego. Pan Ludwik stworzył w tej sztuce niezrównaną sylwetkę austriackiego feldmarszałka. Ten drobny epizod

był prawdziwym wydarzeniem teatralnym.

„Pamiętam, z jakim wzruszeniem opowiadał mi o wstrząsającym wrażeniu lwowskiego przedstawienia WARSZAWIAN-KI. Głos mu się łamał, kiedy wspominał tę chwilę, kiedy na scenę wchodzi STARY WIARUS, Ludwik Solski, uosobienie twardego obowiązku żołnierskiego i zwiastun złej nowiny.

„Dziś stary wiarus sceny polskiej odchodzi na wieczną wartę. Na obcej ziemi składamy Jego doczesne szczątki. Żegnamy drogiego przyjaciela, dobrego Polaka, szlachetnego człowieka.

„Żegnamy go z żalem, bośmy go kochali”.

Budzyński powiedział m.in.:

...„Kiedys podczas naszych wspólnych objazdów — przyrzekłem Ludwikowi że nie będę mówił na Jego pogrzebie. Niestety — musiałem złamać przyrzeczenie — i dziś żegnám go, świetnego artystę, zasłużonego członka ZASP na obczyźnie, przyjaciela — którego wejście w brawach i śmiechach — tyle razy zapowiadałem na scenie; dziś przypadła mi rola zapowiadacza Jego odejścia — od nas — na zawsze. Żegnám Go w imieniu Związku Artystów Scen Polskich na obczyźnie, w imieniu kolegów i kolegów, obecnych dziś tu i nieobecnych, tych, którzy od lat pracowali z nim — w Polsce, na drogach wojennych i na scenie polskiej w Wielkiej Brytanii”.

...„Pozostawił tu nam swój uśmiech, którym obdarzał hojnie ludzi w potrzebie, samotnych, starszych, chorych, załamanych — ten uśmiech posyłamy Mu dziś na tę trudną drogę ostatnią...”.

...„Widzę — pamiętam tak dobrze: rozbawione, roześmiane widownie, odczytuję raz jeszcze listy wiernych słuchaczy, które wpływały masowo do Radia Wolna Europa po Jego występach — w moich programach rozrywkowych...”.

...„Słyszę — nasze rozmowy w garderobach z Ludwikiem, który ukochał nade wszystko w ży-

ciu: scenę i rodzinę. Za sceną w małych objazdowych garderobach — powtarzała się — w rozmowach z Nim stale i zawsze: Nela — żona, synowie (jaki był dumny z nich), „moje angielskie synowe“ ...no i wnuczek! Temu wnukowi kiedyś poświęciłem piosenkę, śpiewaną przez Ludwika ze szczególnym sentymentem. Dziś ten wnuk — dorosły młody człowiek — razem z nami oplakuje odejście Dziadka...”.

Płk Kuniczak, bardzo wzruszony w serdecznym przemówieniu podkreślił bezinteresowność, z jaką Zmarły ofiarowywał swe występy uroczystościom „Koła Lwowian”. Wyraził za to rodzinie Zmarłego na cmentarzu wdzięczność „Koła Lwowian”.

Na zakończenie płk Kuniczak wrzucił do otwartej mogiły garść ziemi z Cmentarza Obrońców Lwowa.

Ś. + P.

LUDWIK LAWIŃSKI

aktor i żołnierz polski 2 Korpusu, odznaczony Złotym i Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami, opatrzony Świętymi Sakramentami zmarł po krótkich cierpieniach 14 września 1971 w Dartford, pozostawiając w głębokim żalu

**ŻONĘ
DWÓCH SYNÓW,
DWIE SYNOWE I WNUKA**

Msza św. odbędzie się w piątek 24 września w Brompton Oratory o godz. 2, po czym pogrzeb na cmentarzu North Sheen.

5845a

Ś. + P.

LUDWIK LAWIŃSKI

aktor i żołnierz polski 2 Korpusu, odznaczony Złotym i Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami, opatrzony Świętymi Sakramentami zmarł po krótkich cierpieniach 14 września 1971 w Dartford, pozostawiając w głębokim żalu

**ŻONĘ
DWÓCH SYNÓW,
DWIE SYNOWE I WNUKA**

Zawiadomienie o pogrzebie i nabożeństwie żałobnym ukaże się później.

5845



Listy do Redakcji

Wypadek Lawińskiego szczęśliwie zakończony

Szanowny Panie Redaktorze! W sobotę 9 maja byliśmy — ja i inne osoby — świadkami wypadku samochodowego, jaki spotkał naszego świetnego aktora-jubilatę, Ludwika Lawińskiego.

Ten nieostrożny „wieczny młodzieniec”, jak przyjaciele Lawińskiego go nazywają, przechodził na drugą stronę ulicy, nie zauważając nastawionych właśnie czerwonych świateł. W pewnym momencie znalazł się tuż pod przejeżdżającym samochodem. Upadł na jezdnię, kładąc się w kolano. Na szczęście przytomny i ostryżny kierowca w ostatniej dosłownie chwili zatrzymał samochód i wyrwał jubilata z

rak śmierci. Bóg jest łaskaw dla lekkomyślnych jubilatów. Chciałam za pośrednictwem Pana Redaktora i stan. bała, autora artykułu o jubilacie pt. „Ludwik Lawiński — arcy-mistrz humoru”, wyrazić na łamach „Dziennika” radość z powodu pomyślnego zakończenia tego zdarzenia i przesłać Lawińskiemu najserdeczniejsze życzenia.

Admiratorka Lawińskiego i stała czytelniczka „Dziennika Polskiego”

Elżbieta Sachorowska

S.W.L.

(Redakcja dołącza się do życzeń pani Sachorowskiej dla zasłużonego artysty.)

Ś. + P.

LUDWIK LAWIŃSKI

senior i członek zasłużony ZASP, zmarł w Londynie 14 września 1971 odznaczony Złotym i Srebrnym Krzyżem Zasługi za pracę całego życia, oddanego teatrowi polskiemu. Scena polska poniosła niepowetowaną stratę.

Msza św. odbędzie się w piątek 24 września w Brompton Oratory o godz. 2, po czym pogrzeb na North Sheen w grobach ZASP.

**ZWIĄZEK ARTYSTÓW SCEN POLSKICH
ZA GRANICĄ**

8373

Zgon Lawińskiego

Ludwik Lawiński, znakomity aktor, senior i zasłużony członek ZASP, wierny syn Lwowa, weteran 2 Korpusu, autor kilku książek i sztuki teatralnej, zmarł w szpitalu po długich cierpieniach w wieku lat 84, we środę 15 września rano.

Osierocił w Londynie żonę panią Nele, dwóch synów, wnuka i liczne rzesze słuchaczy-wielbicieli.

Mistrz Lawiński

Zmarły niedawno Ludwik Lawiński powiedział mi przed kilkoma laty w rozmowie, a było to bodaj w przeddzień wystawienia w Londynie komedii „Gałązka rozmarynu“, w której Lawiński znakomicie odtworzył rolę feldmarszałka austriackiego:

— Nie wolno tracić w życiu — powiedział — poczucia humoru!... Nawet w najcięższych chwilach życia... To poczucie humoru daje właśnie człowiekowi często przetrwać najbardziej zdawałoby się trudne doświadczenie. Czyż uśmiech nie jest jednym z uroków życia? Może dlatego nie chciałbym, aby pisano o mnie, gdy już mnie nie będzie, w tonie żalobnym uroczysto-pogrzebowym...

Powtarzając tę rozmowę z naszym świetnym, nieodżałowanym aktorem, wolę więc nie pisać o nim wspomnienia sentymentalnego, mimo że odczuwam głęboki smutek na myśl, że go nigdy więcej nie zobaczę, ani na scenie, ani przy stoliku w takiej czy innej „wiecznej kawiarni“, gdzie spotykają się i spotykać się będą zawsze artyści, malarze, poeci. Chcę pisać o nim, jak o żywym człowieku i aktorze, którego role i monologi utrwaliły się na zawsze we wspomnieniach, i moich, i wielu, wielu jego widzów i adoratorów.

Ludwik Lawiński obejmuje swoją twórczością aktorską trzy epoki teatralne: okres przed Pierwszą Wojną światową; okres Niepodległości i wreszcie lata emigracji. Pomyślcie tylko, drodzy czytelnicy! Jako młody chłopak widział Lawiński na scenie Modrzejewską; podziwiał Solskiego w legendarnej roli starożytnego Wiarusa w „Warszawiance“; poznał Wyspiańskiego; został „pasowany na aktora“ przez Gabriellę Zapolską; przyjaźnił się i współpracował z najwybitniejszymi aktorami sceny polskiej na przestrzeni lat 1908-1971; występował pod egidą całej plejady sławnych reżyserów, poczynawszy od wielkiego Romana Żelazowskiego, poprzez Ludwika Hellera, Teofila Trzczyńskiego, Tadeusza Piłarskiego, Leona Schillera, Aleksandra Zelwerowicza, Fryderyka Jarossygo, aż do Stanisława Szpiganowicza, Wacława Radulskiego, Mariana Hemara i Leopolda Kielanowskiego.

Urodził się Lawiński w 1887 we Lwowie. Od dziecka marzył o scenie. Gdy miał osiem lat napisał sam sztukę pt. „Pan doktor co kupuje, a co komu zginęło to znajduje“. Sztukę tę wystawiono w mieszkaniu rodziców Lawińskiego dla grona krewnych i przyjaciół. Przedstawienie miało wielkie powodzenie. Był to pierwszy występ małego Ludwi-

czka Lawińskiego. Matka jego jednak była zaniepokojona. Zaczekała, by jej syn siedział na scenie. Były to czasy ciężkich pluszowych firanek w oknach salonów mieszczańskich, czasy wiktoriańskich przesądów i uprzedzeń, że zawód aktorski może deklasować. Ale opory matki okazały się bezskuteczne. Ukończywszy szkołę, Lawiński, po różnych próbach studiowania na uniwersytetach i urzędowania w kancelariach dostał się ostatecznie na scenę. Pierwszy jego występ miał miejsce w 1908 roku, w kole literacko-artystycznym we Lwowie w Pasażu Mikolasza. Artysta śpiewał wówczas piosenki satyryczne.

Na występie tym była Zapolska. Poszła do niego za kulisy i z właściwą jej emfazą przepowiedziała mu dużą przyszłość aktorską. Nie omyliła się. Przed Lawińskim otworzyły się bramy teatru.

Jedną z pierwszych ról Lawińskiego przed Pierwszą Wojną światową była rola Pagatowicza w „Grubych rybaczach“ we Lwowie. Objeżdżał z tą rolą Kraków, Łódź i szereg miast prowincjonalnych.

W Warszawie wystąpił po raz pierwszy w 1911 roku, w teatrze Miniatur, i wtedy „zapalał“ — jak notuje w swych wspomnieniach — pierwszą recenzję i to „dobrą“. Autorem tej recenzji był nie kto inny, tylko głośny później autor „Kochanków“ i „Lenina“, mieszkający obecnie w Londynie, Wacław Grubiński. Powtarzał mi Lawiński aforyzm, jaki Grubiński lansował wtedy w Warszawie: „Kochajmy się jak Żydzi, rachujmy się jak bracia“.

Podczas Pierwszej Wojny światowej poznał Lawiński w Krakowie swoją żonę, panią Nelę, wielce obiecującą wtedy, młodziutką aktorkę, uczennicę Zofii Czaplińskiej i Stanisławskego. Po ślubie (w 1916 roku) Lawiński „ostudził jednak“ — jak wspomina w swych zapiskach — „zapal żony do teatru“ i młoda pani Lawińska porzuciła scenę. Było to idealne małżeństwo. W styczniu 1971 obchodzili państwo Lawińscy 55 rocznicę ślubu. Wraz z dwoma synami, synowymi i wnukiem stanowili głęboko kochającą się rodzinę: rzecz wśród aktorów w teatrze nie zdarzająca się często.

Lata niepodległości były chyba okresem najbardziej intensywnej, szczytowej świetności aktorskiej Lawińskiego: grał w Warszawie, Lwowie, Krakowie, Łodzi, jeździł z występami po wszystkich chyba większych miastach Polski. Jego imię, jako aktora, komika, śpiewaka i niezrównanego odtwórcy monologów — łączy się z dziejami takich znakomych teatrów literacko-kabaretowych jak legendarne „Qui-pro-quo“, jak „Miraż“, jak „Cyrulik Warszawski“, jak „Perskie Oko“.

Wybrany też został Lawiński do pierwszego zarządu Związku

roku i powiedział mu, że usłyszał przez radio wezwanie pułkownika Umiastowskiego, że wszyscy mężczyźni mają jak najszybciej opuścić Warszawę. Lawiński wyjechał wtedy z Sempolińskim dorożką do Lublina; z Lublina do Lwowa. A potem czekał go szlak, znany tysiącom Polaków; szlak, wiedzący przez Rosję, Bliżni Wschód, Włochy do Anglii.

Gdy pytałem kiedyś Lawińskiego o szczegóły z „pobytu“ jego w Rosji, odpowiedział:

— Trzeba by setek ponurych stron, żeby opisać to, co się przecierpiał w Rosji. A przecież — dodał — właśnie w Rosji, mimo gryzącej mnie troski o rodzinę i o losy mego kraju, przeżyłem jeden ze szczęśliwszych momentów mego życia... Tym momentem było wydostanie się z Rosji! Kto nie zaznał niewoli sowieckiej, a choćby nawet jeśli tak zwanej „swobody sowieckiej“, ten nie ogarnie chyba nigdy rozmiarów radości, ulgi, ocalenia, w momencie wydostania się z tego strasznego więzienia, jakim jest Rosja Sowiecka.

Wstąpiwszy na ziemię wolną Lawiński, przystąpił natychmiast do organizowania tworzącej się wtedy w 2 Korpusie czołówki teatralnej. Grał w Teheranie, w Bagdadzie, w Mosulu, w Palestynie, w Egipcie, we Włoszech. W Drugim Korpusie obchodził 35-lecie pracy scenicznej i za namową reżysera Wacława Radulskiego wystąpił wtedy w roli księcia Ferdynanda w „Wiele hałasu o nic“.

Dzięki generałowi Andersowi, dla którego Lawiński żywił zawsze najgłębsze uczucia wdzięczności, podziwu i oddania, został wysłany zaraz po skończonej wojnie z czołówką do Bawarii, do Murnau, gdzie przebywało około dziesięciu tysięcy więźniów polskich. Spotkała tam Lawińskiego szczęśliwa niespodzianka: dowiedział się, że jego rodzina, o której od czterech lat nie miał wiadomości, żyje. Dowiedział się, że jego starszy syn Tadeusz jest w obozie w Lubece, a młodszy Marian oczekuje w szpitalu niemieckim na amputację nogi.

— Marianowi ocaliłem nogę — opowiadał mi po latach Lawiński — ma ją do dzisiejszego dnia, gdy nie pozwoliłem jej amputować.

Wkrótce przedostała się na Zachód pani Nela Lawińska. — Przeszła ciężkie chwile w Warszawie; przez dwa lata była więziona na Pawiaku, a po cudownym wydostaniu się z Pawiaka pracowała wraz z synami w konspiracji. Następnie zaś brała udział w Powstaniu Warszawskim i była poważnie ranna.

W 1946 roku cała rodzina państwa Lawińskich znalazła się w Londynie. I wtedy niestrudzony Lawiński rozpoczął swoje występy w Anglii, głównie w Londynie. Występował w przeliczonych sztukach i rewiach, naj-

swoją twórczością aktorską trzy epoki teatralne: okres przed Pierwszą Wojną Światową; okres Niepodległości i wreszcie lata emigracji. Pomyślcie tylko, drodzy czytelnicy! Jako młody chłopak widział Lawińskiego na scenie Modrzejewską; podziwiał Solskiego w legendarnej roli starożytnego Wiarusa w „Warszawiance”; poznał Wyspiańskiego; został „pasowany na aktora” przez Gabriellę Zapolską; przyjaźnił się i współpracował z najwybitniejszymi aktorami sceny polskiej na przestrzeni lat 1908-1971; występował pod egidą całej plejady sławnych reżyserów, poczynawszy od wielkiego Romana Żelazowskiego, poprzez Ludwika Hellera, Teofila Trzczyńskiego, Tadeusza Pileckiego, Leona Schillera, Aleksandra Zelwerowicza, Fryderyka Jarossyego, aż do Stanisława Szpiganowicza, Wacława Radulskiego, Mariana Hemara i Leopolda Kielanowskiego.

Urodził się Lawiński w 1887 we Lwowie. Od dziecka marzył o scenie. Gdy miał osiem lat napisał sam sztukę pt. „Pan doktor co kupuje, a co komu zginęło to znajduje”. Sztukę tę wystawiono w mieszkaniu rodziców Lawińskiego dla grona krewnych i przyjaciół. Przedstawienie miało wielkie powodzenie. Był to pierwszy występ małego Ludwi-

ka. Recenzję i to „dobłą”. Autorem tej recenzji był nie kto inny, tylko głośny później autor „Kochanków” i „Lenina”, mieszkający obecnie w Londynie, Wacław Grubiński. Powtarzał mi Lawiński aforyzm, jaki Grubiński lansował wtedy w Warszawie: „Kochajmy się jak żydzi, rachujmy się jak bracia”.

Podczas Pierwszej Wojny Światowej poznał Lawiński w Krakowie swoją żonę, panią Nelę, wielce obiecującą wtedy, młodziutką aktorkę, uczennicę Zofii Czaplińskiej i Stanisławskego. Po ślubie (w 1916 roku) Lawiński „ostudził jednak” — jak wspomina w swych zapiskach — „zapal żony do teatru” i młoda pani Lawińska porzuciła scenę. Było to idealne małżeństwo. W styczniu 1971 obchodzili państwo Lawińscy 55 rocznicę ślubu. Wraz z dwoma synami, synowymi i wnukiem stanowili głęboko kochającą się rodzinę: rzecz wśród aktorów w teatrze nie zdarzająca się często.

Lata niepodległości były chyba okresem najbardziej intensywnej, szczytowej świetności aktorskiej Lawińskiego: grał w Warszawie, Lwowie, Krakowie, Łodzi, jeździł z występami po wszystkich chyba większych miastach Polski. Jego imię, jako aktora, komika, śpiewaka i niezrównanego odtwórcy monologów — łączy się z dziejami takich znakomych teatrów literacko-kabaretowych jak legendarne „Qui-pro-quo”, jak „Miraż”, jak „Cyrulik Warszawski”, jak „Perskie Oko”.

Wybrany też został Lawiński do pierwszego zarządu Związku Artystów Scen Polskich. Przewodniczyli Związkowi w owym czasie dwaj sławni i zasłużeni aktorzy: Józef Kotarbiński i Józef Śliwicki. Na jednym z tych posiedzeń — opowiadał mi Lawiński — zapadła uchwała, że posiedzenia zarządu ZASP-u odbywać się będą zawsze w niedziele. A wtedy odezwał się Kotarbiński:

— No dobrze! Ale co będzie jak niedziela wypadnie we czwartek?

Kotarbiński był niezmiernie roztargniony i często wypowiadał podobne uwagi całkiem serio, broń Boże z chęci zrobienia żartu. Czułnie opiekowała się nim zawsze jego energiczna i pełna rozmachu żona, Lucyna Kotarbińska, niewątpliwie prototyp jakiegoś polskiego „Women Liberation Movement”.

W swoich dwóch książkach, wydanych na emigracji („Kupiłem” i „Aczkolwiek”) Lawiński podaje wiele podobnych przyczynków obyczajowych, uwag o kolegach, żartów i przeróżnych wydarzeń, w jakie obfitowało jego bujne życie. Dodam, że przed kilku laty ukazał się w Warszawie zbiór wspomnień teatralnych Ludwika Sempolińskiego, znanego artysty rewiowego i operetkowego. Wspomnienia te poświęcone są głównie teatrom warszawskim w okresie Niepodległości. Lawiński odgrywa w książce Sempolińskiego oczywiście dużą rolę.

Tenże Sempoliński obudził Lawińskiego nocą wrześniową 1939

35-lecie pracy scenicznej i za namową reżysera Wacława Radulskiego wystąpił wtedy w roli księcia Ferdynanda w „Wiele hałasu o nic”.

Dzięki generałowi Andersowi, dla którego Lawiński żywił zawsze najgłębsze uczucia wdzięczności, podziwu i oddania, został wysłany zaraz po skończonej wojnie z czołówką do Bawarii, do Murnau, gdzie przebywało około dziesięciu tysięcy więźniów polskich. Spotkała tam Lawińskiego szczęśliwa niespodzianka: dowiedział się, że jego rodzina, o której od czterech lat nie miał wiadomości, żyje. Dowiedział się, że jego starszy syn Tadeusz jest w obozie w Lubecie, a młodszy Marian oczekuje w szpitalu niemieckim na amputację nogi.

— Marianowi ocaliłem nogę — opowiadał mi po latach Lawiński — ma ją do dzisiejszego dnia, gdy nie pozwoliłem jej amputować.

Wkrótce przedostała się na Zachód pani Nela Lawińska. — Przeszła ciężkie chwile w Warszawie; przez dwa lata była więziona na Pawiaku, a po cudownym wydostaniu się z Pawiaka pracowała wraz z synami w konspiracji. Następnie zaś brała udział w Powstaniu Warszawskim i była poważnie ranna.

W 1946 roku cała rodzina państwa Lawińskich znalazła się w Londynie. I wtedy niestrudzony Lawiński rozpoczął swoje występy w Anglii, głównie w Londynie. Występował w przeliczonych sztukach i rewiach, najpierw w „Teatrze Orła Białego” na Knightsbridge, potem w „Ognisku”, a także w różnych salach teatralnych Londynu, gdzie odbywały się imprezy i przedstawienia polskie.

Wyliczyć wszystkie kreacje Lawińskiego w Londynie nie sposób. Trzeba by specjalnej biografii, żeby omówić jego poszczególne role, monologi i konferansjerki, żeby zanalizować jego specyficzny, dosadny, często groteskowy humor, żeby przypomnieć jego dowcipy i anegdoty, wypowiedziane z estrady. Rozwieszał, bawił, pobudzał do śmiechu, a nie raz poprzez śmiech wzruszał. Oklaskiwały go trzy pokolenia widzów! Nie można pisać dziejów kabaretu polskiego i polskiej lekkiej komedii w Niepodległej Polsce i na emigracji, żeby nie figurowało w nich na naczelnym miejscu nazwisko mistrza Lawińskiego. Szczęśliwie się stało, że zostawił po sobie dwa tomiki wspomnień i żartów, w których odbija się blask jego humoru, życiowej pogody i uśmiechu.

W zakończeniu — żeby dodać kropkę bardziej oficjalnego tonu — przypomnę, że Lawiński w uznaniu zasług, położonych dla sceny polskiej, mianowany został Członkiem Zasłużonym ZASPu; w czasie służby w wojsku otrzymał Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami, a po wojnie dostał Złoty Krzyż Zasługi. Był nie tylko znakomitym artystą, ale także wybitnym obywatelem i głębokim patriotą polskim.

S. Baliński

SENTYMENTALNY KRÓL HUMORU

Gdziekolwiek się ukazał, wnosił uśmiech i beztroskę. Zawsze bawił gdy opowiadał dowcipy i anegdoty, często rozweselał podświadomie, nawet kiedy mówił coś istotnego. Miał bowiem tak niezwykłą „vis comica” i swoisty sposób wypowiedzi że z trudem tylko można było zachować powagę. Gdy raz po powrocie z Francji, dokąd udał się na tournée artystyczne, ciężko stąpał o lasce, na pytanie jak udała się wyprawa, odpowiedział: „Miałem tylko dwa występy w Paryżu: jeden występ na premierze, a drugi występ, kiedy na drugi dzień rano w łazience wystąpiłem z wanną i skrzyłem nogę w kostce”. Słyszając to musiało się parsknąć śmiechem, mimo że przygoda była przecież przykra i bolesna.

Gdy jego nazwisko widniało na afiszu nowej rewii „Qui Pro Quo”, „Cyganerii” czy „Cyrulika”, wiadomo było że powodzenie murowane, nawet jeśli program nie zapowiadał się nadzwyczajnie. Ten doskonały komediowy aktor, był to tęgi, zażywny, z wydatnym brzuchem i donośnym głosem, siwiejący na skroniach starszy pan, a jednocześnie tryskający werwą i niespożytym humorem artysta, filar literacko-satyrycznej sceny warszawskiej. I takiego pamiętam od pierwszej chwili, gdy jako kilkunastoletni uczeń ukradkiem wchodziłem na widownię teatru „Qui Pro Quo”, dokąd wraz z kolegą Zdziśkiem Ślimińskim mogłem dostać się tylko dlatego że jego ojciec był tam administratorem. Nasze szkolne czapki zostawialiśmy w małym korytarzu za kasą, a sami wślizgaliśmy się do najbliższej pustej łoży, kiedy na sali dobrze już się ściemniało. Działo się to dawno temu, a mimo to dobrze pamiętam Ludwika Lawińskiego w jego jednoaktówkach, monologach i kupletach. Bo ten aktor był naprawdę niezapomniany.

Lawiński nie ograniczał się do jednego typu ról. Występował bowiem nie tylko jako Rafał Bas, skrzypek-wirtuoz, lub dyrektor prowincjonalnej szkoły tańca, lecz również jako piosenkarz wy-

konający Rapsodię Węgierską Liszta z kontrastowo dobranymi słowami i romanse cygańskie, bądź też jako kapitalny obywatel ziemski hrabia Wielodopa-Wielodopski, lub imitator i parodysta w grotesce „Kapelmistrze świata”, polityczno-muzycznej pantomimie. Grał także w teatrze krakowskim pod dyktando Zygmunta Nowakowskiego, w warszawskich „Nowościach”, gdzie reżyserował operetki z Lucyną Messal i Elną Giestedt i w Teatrze Polskim w „Zemście nietoperza”. Lawiński, który do perfekcji doprowadził sztukę *p u r e n o n s e n s e*, nie był jednak wyłącznie komikiem, lecz również aktorem o szerokiej skali talentu, artystą, który w jednoaktowym psychologicznym dramacie Molnara „Jubileusz pana prezesa” odtworzył tytułową rolę z tragizmem na miarę Jaracza.

W ciągu całej jego długiej kariery teatralnej trzymały się Lawińskiego sztuczki figle, kawały i powiedzonka. Zawsze śmieszne i rozbijające, a nigdy złośliwe. Pan Ludwik, który ubóstwiał nabierać kolegów, a pomysły miewał fantastyczne, w chwili zwycięstwa wykrzykiwał w imieniu swej ofiary: „Kupiłem!” czyli „dałem się złapać”. Później, kiedy zacząłem pisywać do teatrów, w których występował, poznałem go osobiście i rżałem z uciechy już za kulisami patrząc jak przygotowywał się do wyjścia na scenę. Wystarczyła mi w zupełności tylko jego jedna, parodystyczna „Pieśń marynarska”, którą wykonywał w stroju wilka morskiego, ale jednocześnie w okularach i w cylindrze, bym śmiał się do łez. Podobnie witała Lawińskiego ubawiona publiczność. Komичny tekst tej piosenki, rozpoczynający się od słów:

**My, korsarze wód,
Przepliwamy wbród
Skierniewice, Bombaj, Leipzig,
Hollywood!**

był już tylko dodatkiem do jego kreacji przyjmowanej huraganem oklasków.



Gen. Władysław Anders dekoruje Ludwika Lawińskiego Złotym Krzyżem Zasługi. (Na drugim planie — Stanisław Zieliński). Londyn, r. 1969.

Potem rozdzielił nas tragiczny Wrzesień, zanim na szlaku Drugiego Korpusu spotykaliśmy się co pewien czas w jak najbardziej egzotycznych miastach na świecie: w Teheranie, w Bagdadzie, w Kairze. Lawiński, który w wojsku rej wodził w czołówce artystycznej i grał jak za najlepszych czasów, znów był w swoim żywiole, a wrodzoną pogodę ducha mącił mu jedynie niepokój o losy żony i dwóch synów. Pragnąc go raz rozchmurzyć zaprosiłem go w Kairze do słynnej kawiarni w ogrodzie: Gropiego. Pan Ludwik, nabity w battle-dress ze złotymi odznakami Welfare Officer, w furazerce zawadiacko przekrzywionej na ucho, wyglądał jak Wilhelm Zdobywca i przez chwilę zapomniał

ledwie zawołał swe wyrażonko: „Kupiłem!”, nacisnąłem guzik przy ręczce parasola, który wnet rozpiął się nad naszymi głowami. Lawiński był zachwycony. Musiałem mu przyrzec że gdy tylko powrócę do Waszyngtonu, to natychmiast kupię mu taki czarodziejski deszczochron.

Zaledwie znalazłem się w Ameryce, otrzymałem list, w którym Pan Ludwik pisał niecierpliwie: „Kochany Panie Tadeuszu! Nie mogę zapomnieć tego parasola i wprost trudno mi uwierzyć że kosztował tylko pięć dolarów. Jak to zrobić, by taki parasol doszedł do mnie — czy najpierw wysłać pieniądze na Paryski adres, a może na adres firmy, która by wysłała ten parasol pocztą. A

jego ojciec był tam administratorem. Nasze szkolne czapki zostawialiśmy w małym korytarzu za kasą, a sami wślizgiwaliśmy się do najbliższej pustej łóżki, kiedy na sali dobrze już się ściemniło. Działo się to dawno temu, a mimo to dobrze pamiętam Ludwika Lawińskiego w jego jednoaktówkach, monologach i kupletach. Bo ten aktor był naprawdę niezapomniany.

Lawiński nie ograniczał się do jednego typu ról. Występował bowiem nie tylko jako Rafał Baś, skrzypek-wirtuoz, lub dyrektor prowincjonalnej szkoły tańca, lecz również jako piosenkarz wy-

na „Flesch marynarska”, którą wykonywał w stroju wilka morskiego, ale jednocześnie w okularach i w cylindrze, bym śmiał się do łez. Podobnie witała Lawińskiego ubawiona publiczność. Komiczny tekst tej piosenki, rozpoczynający się od słów:

**My, korsarze wód,
Przepływamy wbród
Skierniewice, Bombaj, Leipzig.**

Hollywood!

był już tylko dodatkiem do jego kreacji przyjmowanej huraganem oklasków.



Ludwik Lawiński jako generał austriacki w „Gałgace rozmarynu” Zygmunta Nowakowskiego. (Teatr ZASP w Londynie).

sta, zanim na szlaku Drugiego Korpusu spotykaliśmy się co pewien czas w jak najbardziej egzotycznych miastach na świecie: w Teheranie, w Bagdadzie, w Kairze. Lawiński, który w wojsku grał jak za najlepszych czasów, znów był w swoim żywiole, a wrodzoną pogodę ducha mącił mu jedynie niepokój o losy żony i dwóch synów. Pragnąc go raz rozzmurić zaprosiłem go w Kairze do słynnej kawiarni w ogrodzie: Gropiego. Pan Ludwik, nabity w battle-dress ze złotymi odznakami Welfare Officer, w furaczerce zawadziako przekrzywionej na ucho, wyglądał jak Wilhelm Zdobywca i przez chwilę zapomniał o swych troskach. Na widok siedzącej na tarasie cukierni przystojnej blondyny zadął głowę do góry i znacząco zmrugał oko, gdy wtem, przelatujący gołąb ustrzelił go prosto w powiekę. Ocierając serwetką policzek i kołnierz mundurowy Lawiński powiedział do mnie z wyrzutem: „Widział pan coś podobnego? To że ona wpadła mi w oko, to rozumiem. Ale żeby takie coś wpadło mi w oko, to skandal!”. „To na szczęście, panie Ludwiku” — pocieszyłem go.

Po wojnie Lawiński osiadł w Londynie, gdzie znów występował w Teatrze Hemara i gdzie zamieszkał z żoną i synami, których udało mu się sprowadzić do Anglii. Choć beztrocki kawalarz, był człowiekiem niezłomnych zasad, pełen gorącego przywiązania do swego dawnego dowódcy gen. Andersa i miłości do naprawdę wolnej Polski. W pełnym wdzięku i humoru pamiętniku, który wydał p.t.: „Aczkolwiek, czyli Opowiadania z Tysiąca i Jednej Nocy” Pan Ludwik tak napisał: „Nieprzypadna miłość do ukradzionego nam Lwowa nie pozwala mi jechać na występy do Kraju, gdzie już niejednokrotnie byłem zapraszany. Odpisywałem krótko: 'Nie przyjadę. Mnie nie interesuje Polska z Gomułą i Cyrankiewiczem, ale Polska ze Lwowem i Wilnem'. I tego zdania nigdy nie zmienię!”.

Z Ludwikiem Lawińskim spotkałem się po raz ostatni przed paru laty, gdy na krótko odwiedziłem Londyn. Po obiedzie w „Ognisku” wyszliśmy na miasto. Padał deszcz. Podniosłem do góry mój „amerykański” parasol i nie rozwijając go odezwałem się: „Niech pan wypowie swoje ulubione magiczne zaklęcie, a parasol sam się otworzy”. Artysta nie dał się długoprośić, a za-

tem!”, nacisnął guzik przy ręczce parasola, który wnet rozpiął się nad naszymi głowami. Lawiński był zachwycony. Musiałem mu przyrzec że gdy tylko powrócę do Waszyngtonu, to natychmiast kupię mu taki czarodziejski deszczochron.

Zaledwie znalazłem się w Ameryce, otrzymałem list, w którym Pan Ludwik pisał niecierpliwie: „Kochany Panie Tadeuszu! Nie mogę zapomnieć tego parasola i wprost trudno mi uwierzyć że kosztował tylko pięć dolarów. Jak to zrobić, by taki parasol doszedł do mnie — czy najpierw wysłać pieniądze na Pański adres, a może na adres firmy, która by wysłała ten parasol pocztą. A może ktoś będzie jechał do Londynu? — to byłoby najlepiej — i przywiezie oczekiwany parasol. Niech Pan pomyśli nad tym. Błagam Pana. A także proszę żeby był również zaopatrzony tym magicznym słowem. Dobrze? Ścisłkam i całuję i czekam odpowiedzi, sercem oddany Ludwik Lawiński”.

Oczywiście zrobiłem Panu Ludwikowi z tego parasola upominek, który przesłałem pocztą lotniczą. Jedyne właściwe opakowanie, które udało mi się do tego zdobyć, to było długie pudło z kwiatami, w jakim posyła się gladiolusy. Panienka, która mi je sprzedawała, spytała do czego mi potrzebne, a słysząc że posyłam parasol do Anglii, odpowiedziała rezolutnie: „To już lepiej wysłać lodówkę na Alaskę”. Amerykanka, nie znając powiedzonka o samowarze do Tuły. Pan Ludwik natomiast był uszczęśliwiony z podarunku jak dziecko z nowej zabawki, a w następnym liście brak mu było słów, by wyrazić szczerą wdzięczność i bezgraniczną radość. W tym jego entuzjastycznym podziękowaniu za nieważną drobnostkę, mieściło się całe usposobienie świetnego artysty, który był szczery, wesoły, radośny i serdeczny.

Choć zadomowił się w Anglii, Ludwik Lawiński, podobnie jak każdy lwowiak kochający swe miasto rodzinne całym sercem, napisał w swojej książce: „Anglia to nie jest kraj żeby w nim umierać — widziałem tu setki cmentarzy, żaden mnie nie pociąga. Ja mogę leżeć tylko we Lwowie. Dobra i przytulna ziemia, można leżeć ile wlezie, aż do sądnego dnia. Dlatego dałem sobie słowo i zaczekam i doczekam”

Niestety...

Tadeusz Wittlin.